



Dagmara Półtorak
Tak trudno
być mną
!



Dagmara Półtorak urodziła się w 1986 roku w Krakowie. Studiuje amerykanistykę na Uniwersytecie Jagiellońskim. Powieść *Tak trudno być mną!* to jej debiut.

Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Salon Cyfrowych Publikacji ePartnerzy.com](#).

Tak trudno
być mną
!



Copyright © by Wydawnictwo W.A.B., 2010
Wydanie I
Warszawa 2010

Dla mamy

22 lutego, niedziela, moje urodziny, zapewne ostatnie

Tysiąc dobrych powodów, by przespać dzisiejszy dzień:

1. Sen dobrze działa na cerę.
2. W telewizji nie leci nic ciekawego.
3. –1000. Zamknięcie się w pokoju i schowanie głowy pod kołdrę oraz dwoma kocami pozwoli mi uniknąć indagacji ze strony rodziny.

Niestety mój plan na dziś miał słabą stronę – nie przewidział przebiegłości oraz perfidii członków rodziny, którzy bezwzględnie wdarli się do mego pokoju i rycząc niby zastęp mongolskich wojowników, odśpiewali mi mocno wkurzającą pieśń okolicznościową:

– Sto lat, kochanie! – wykrzyknęła Matka, brutalnie zdzierając ze mnie kołdrę (oraz dwa koce) i podstawiając mi pod nos mdły z wyglądu torcik czekoladowy.

– Wszystkiego najlepszego! – rzekł godnie Włodzimierz, poprawiając swą seledynową spiczastą czapeczkę.

Gdzieś z tyłu mignęły mi sylwetki Michała i Smarka. Włodzimierz położył na łóżku prezent, opakowany w zniechęcająco czerwony papier. Ciekawe co tym razem, książka czy płyta?

No tak. Książka o płytach.

– Dzięki – mruknęłam, zastanawiając się, kogo mogłabym obdarować arcyciekawą, zapewne, pozycją: *Koncerty organowe na nośnikach CD – klasyka kontra nowoczesność*.

– Nie ma za co, wiem, jak lubisz organy – zaćwierkał Włodzimierz.

Taa, Kocham. Niczym depilację pęsetą.

– A to ode mnie. – Matka postawiła obok mojego, niestety wciąż oddychającego, ciała podejrzany przedmiot o niepokojących gabarytach, zawinięty nieudolnie w taki sam czerwony papier. – No dalej, otwórz! – zaszczebiotała.

Boga nie ma; są chwile, gdy dochodzę do takiego wniosku, i to była jedna z nich. Kobieta, która od dwudziestu dwóch lat utrzymuje, że nosiła mnie w swoim łonie przez dziewięć miesięcy i trzy tygodnie, obdarowała mnie różowym świecznikiem z cekinami, z którego w nienaturalnych pozycjach zwisały cztery aniołki.

Zapadła grobowa cisza. Jedyne Smark pozwolił sobie na stłumiony chichot, zamilkł jednak zgaszony moim pełnym obrzydzenia wzrokiem. Zapamiętam to sobie. Zobaczymy, bratku, twoją minę, gdy Matka podaruje ci pod choinkę parę ciepłych wełnianych gaci w kolorze khaki. Już ja się o to postaram.

Matka i Włodzimierz wycofali się dyskretnie do kuchni, zapewne z zamiarem przygotowania jakiegoś wykwintnego urodzinowego posiłku, na przykład mielonych z kartoflami. Ja natomiast zastanawiałam się, czy morderstwo za pomocą anielskiego świecznika można uznać za zbrodnię w afekcie. Michał jest silny, pewnie musiałabym go dobić książką o organach.

– No dobra, kończmy to – rzekłam bezceremonialnie, zakładając szlafrok.

– Ależ co, droga siostrze? – zapytał niewinnym głosem Smark, uśmiechając się przy tym złośliwie.

– Dawajcie prezent! – Zawiesiłam głos, nagle wpadając w panikę. Jeżeli braciszkiowie przygotowali mi w prezencie coś łatwopalnego, co wybuchnie mi prosto w twarz, może być niewesoło.

– Dobrze, już dobrze – powiedział Michał.

Smark włożył do ust dwa palce (wolałabym nie wiedzieć, gdzie przebywały wcześniej) i gwizdnął jak marynarz w dokach, przywołując wielkiego, żółtego psa, który dwoma długimi susami przemierzył pokój i rzucił się na mnie, wywalając jęzor i wybałuszając oczyska.

– Co to jest? – zapytałam, próbując bezskutecznie wydostać się spod bestii.

– Pies – zauważył Smark z refleksem kandyzowanej brzośkwini.

Pies kłapnął zębami (których prawdopodobnie miał jakiś milion), gdy oznajmiłam, że nie mogę go zatrzymać.

– Musisz – powiedział Michał.

– Inaczej w schronisku przerobią go na smalec – dodał Smark. – Psi smalec – podsumował z wrodzoną elokwencją.

Bydlę spojrzało na mnie i podskoczyło, miażdżąc mi kilka żeber i skutecznie odcinając dopływ tlenu. Był nawet miły, jeśli pominąć cuchnący siarką piekielną oddech, liniejące futro, spod którego połyskiwały łuski, i morderczy błysk w ślepiach.

– Gdzie jest haczyk? – zapytałam nagle, tknięta przecuciem, że pies zaraz wybuchnie mi prosto w twarz.

– Ależ nigdzie, zupełnie nigdzie – odparł Smark tonem Jaruzeńskiego wprowadzającego stan wojenny. – Ach, zapomniałbym. Wabi się Killer.

Powód 1001?

Później

Po urodzinowym obiedzie, który odebrał mi kilka lat życia, zostałam zmuszona do wyjścia na spacer z piekielnym potworem, narażając się na komentarze sąsiadów, podczas gdy Smark i Michał przyglądali się przez okno, jak pies wlecze po chodniku moje ledwo żywe ciało.

Mieszkamy na osiedlu domków jednorodzinnych, przy którym dziewiąty krąg dantejskiego piekła, zarezerwowany dla fałszerzy i szercyeli waśni, wydaje się parkiem rozrywki, a jego mieszkańcy całkiem miłymi ludźmi. Niekończąca się inwigilacja siebie nawzajem i raporty zdawane tak od niechcenia przy podlewaniu ogródka to dwie niepisane reguły.

Kiedy się wprowadzaliśmy osiem lat temu, Matka uroczyście przysięgała, że nie stanie się plotkarą jak reszta, ale wystarczyło, że pan Kwiatkowski raz wyszedł w styczniu w samych gaciach do ogródka, a Matka z wywieszonym ozorem poleciała na pogaduchy. Potem była bardzo zawiedziona; kiedy już z sąsiadkami doszły do wniosku, że Kwiatkowski postanowił zerwać pęta kapitalistyczno-globalistycznego ustroju, wyzwolił się spod rządów pieniądza i stał się dzieckiem-kwiatem, okazało się, że po prostu wypił przeterminowany szampan z sylwestra.

Włodzimierz dla odmiany nie wchodzi w żadną interakcję z sąsiadami, prócz swej nemesis, pana Stanisława, który to z regularnością słońca i gwiazd codziennie o 8.15 wjeżdża w nasze kubły na śmieci. Jednakże Włodzimierz jest człkiem o złotym sercu i krótkiej pamięci, więc gdy pan Stanisław jakiś czas temu zapukał do naszych drzwi, dzierżąc pod pachą półlitrowkę, wszelkie niesnaski poszły w niepamięć. Kiedy o czwartej nad ranem Włodzimierz i pan Stanisław, objęci, zaczęli śpiewać: *We are the champions*, Matka wkroczyła do akcji. Rozstając się, przysięgli sobie wieczną przyjaźń i oddanie, by cztery go-

dziny i piętnaście minut później zmieszać się z błotem pod garażami.

Co do Smarka i Michała, trudno im znaleźć na osiedlu jakieś towarzystwo, zważywszy, że średnia wieku wynosi tutaj 65 lat. Ma to niewątpliwe zalety, nie muszą się na przykład obawiać, że pewnego dnia, wracając, nie zastaną domu (Smark dostał niedawno zestaw Małego Piromana i z zacięciem testuje nowe modele bomb domowej roboty, spuszczać je w klozecie). Koledzy Smarka, postrach miejskich posterunków, znani jako Piekielna Banda, rzadko go odwiedzają, gdyż nasze osiedle leży na peryferiach i aby do nas dotrzeć, trzeba podróżować jakieś dziesięć lat świetlnych. Równie trudno się stąd wydostać; Włodzimierz i Matka przywłaszczyli sobie rodzinne auto, skazując nas, krew z własnej krwi, kość z kości, na podróżowanie autobusem, co zapewne odbije się na naszych wątłych psychikach i skaże na wieloletnie terapie u psychoanalityków. Pierwsze ośrodki cywilizacji widać dopiero po dwugodzinnym tłuczeniu się autobusem, istnym miejscem kaźni, wypełnionym staruszkami, cierpiącymi na Nieustanną Potrzebę Konwersacji.

Przed chwilą zaczepił mnie pan Stanisław i zięjąc nienawistnie, ostrzegł, że „jeśli tatuś jeszcze raz zastawi kubłami jego garaż, pożałuje tego, oj, pożałuje”. Pan Stanisław miał minę niczym Don Corleone, planujący podłożenie komuś do łóżka końskiego łba, więc wskazałam na psa i rzuciłam:

– Tata kupił go do obrony.

Killer kłapnęła zębischkami, wyrażając gotowość do mordy i rozrywania członków. Pan Stanisław pisnął zmieszany i odszedł w pokorze. W oknie ujrzałam twarz Smarka, przyklejoną do szyby i wykrzywioną grymasem radości à la markiz de Sade. Schyliłam się, zebrałam garść śniegu i rzuciłam kulkę prosto w tę wyszczerzoną gębę, żałując, że śnieg nie jest tym, co Killer właśnie zrobił w krzakach.

Wieczór

Siedziałam w pokoju, uprzednio zastawiwszy drzwi stołkiem (nie przyniosło to oczekiwanego rezultatu, gdyż otwierają się od zewnątrz), gdy do mojej sypialni wpadł Smark na Killerze.

– Telefon do ciebie! – zawył, jakby go kto obdzierał ze skóry, i szczęknął ostrogami. Potem zaczął mi przegrzebywać szufladę z bielizną. Pewnie znowu podkraść Matce klucz do kredensu i nażał się cukru. Brat nadaje pojęciu „dziecko z problemami” całkiem nowe znaczenie.

Dowleklam się do telefonu i wychrypiałam kurtuazyjnie:

– Czego?

– Cześć. To ja – odpowiedział mi podobnie zachrypnięty głos. To Tata. Nie Włodzimierz, mąż Matki, tylko Tata, ten od przekazanego w genach malkontenctwa i depresji maniakalnej.

– Cześć, tato – rzekłam.

– Wszystkiego, ten, najlepszego, tego. Dzwonię, żeby ci powiedzieć wszystkiego najlepszego. Więc mówię: wszystkiego najlepszego. A także sto lat. I mazel tow! Widzisz, w życiu każdego mężczyzny przychodzi taki moment, kiedy musi się zmierzyć ze światem. Iść naprzód! Zasadzić syna, spłodzić dom i wybudować drzewo. I mimo że nie jest łatwo, każdy facet musi wziąć los w swoje ręce. Bo jeśli nie teraz, to kiedy? Trzeba marzyć, wiesz? Bez marzeń i ideałów życie nie jest pełne. Rozumiesz mnie? Musisz się postawić światu! Nie daj sobą pomiatać. Weź byka za rogi! Bo kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje. To byłam ja, Tata. Sto lat.

– Tak – rzekłam wymijająco i pożegnałam się.

Jak to dobrze, że Tata zawsze mówi krótko i z sensem.

24 lutego, wtorek (godz. 8.15, naturalnie)

Gdy pan Stanisław wjechał w kubły punktualnie ósma minut piętnaście, Włodzimierz ze stoickim spokojem założył kapcie, wyszedł do ogródka, odkręcił kurek z wodą i pogwizdując, zalał podjazd sąsiadów. Chyba te herbatki z wyciągiem z żeń-szenia naprawdę działają.

Właśnie siedziałam przy stole, lustrując wzrokiem puszkę tuńczyka, gdy do kuchni wbiegł Killer, zostawiając na posadzce malownicze ślady ubłoconych łap. Pies wskoczył na krzesło naprzeciwko mnie, usiadł na nim, jak gdyby nigdy nic, i kłapnęła pyskiem, prawdopodobnie na mój widok.

– Cześć – odezwał się Smark, który właśnie wszedł do kuchni i zaczął plądrować lodówkę.

– Cześć – odrzekłam, przepełniona siostrzaną miłością.

– Mówiłem do psa – wyszczerzył zęby, a ja miałam ochotę trzasnąć w nie cegłą.

– Spóźnisz się do szkoły, worku na organy – powiedziała, rozkładając poranną gazetę, by odgrodzić się od zaślinionego kretyna oraz od psa.

– Nie, tata mnie dziś odwozi – oznajmił Smark, uszczęśliwiony, po czym zaczął wlewać psu do pyska syrop wiśniowy. – Jedziesz z nami?

– Wolałabym wypluć swoje wnętrzności – mruknęłam, pochylając się nad tuńczykiem.

– Co mówisz? – Matka weszła do kuchni, zamiatając podłogę długim szlafrokiem.

– Ta ryba ma dużo ości.

Matka rzuciła mi podejrzliwe spojrzenie (pewnie pomyślała znów, że mnie podmienili w szpitalu; cóż, sama o tym często myślę), nalała sobie szklankę wody i z grobowym obliczem opuściła kuchnię. Minęła się po drodze z Michałem, który wyglądał

na bardziej zdezorientowanego niż zazwyczaj. Podrapał się po skołtunionej szopie, którą nazywa włosami, i usiadł, wpatrując się w Killera. Pies odwzajemnił spojrzenie i tak się na siebie gapili, aż do kuchni wszedł Włodzimierz, pogwizdując pod nosem *Most na rzece Kwai*.

– Cześć, dzieci! – powiedział, poufale poklepując po głowie mnie, Michała, Smarka i Killera. Robił to co rano; wątpię, by zauważył, że przybył mu łeb do poklepywania. – Kto ze mną jedzie?

– Ja! – wrzasnął Smark i wsypał sobie do paszczy zawartość cukiernicy.

Włodzimierz poblądł z lekka. Nie dziwię mu się: przebywanie sam na sam ze Smarkiem w zamkniętym pomieszczeniu też by mnie napawało strachem.

Brat miał miły zwyczaj rzucania się po aucie jak osoba z chorobą świętego Wita, wyrzaskiwania przez okno obelg pod adresem wszystkiego, co się rusza i na drzewo nie ucieka, oraz zasłaniania kierowcy oczu i pytania „zgadnij kto to?” podczas wjazdu na autostradę.

– A wy? Może was podwieźć? – spytał błagalnie Włodzimierz.

Widać było, że Michał bije się z myślami – wierność ojcu kontra Smark, sprawdzający, ile keczupu zmieści mu się w lewej dziurce od nosa.

Włodzimierz tkwił na przegranej pozycji.

– Nie – powiedziałam, uprzedzając pytanie.

Włodzimierz zwiesił głowę. Oczekiwałam, że zaleje się łzami, ale po chwili godnie wstał i zaczął szukać waleriany.

– Jedź dziś do Taty – zaproponowała Matka, znowu przemykając przez kuchnię niczym flanelowe widmo. – Ale wróć wieczorem, ja mam nocną zmianę, a ktoś musi zrobić kolację.

– I kup psu żarcie – Michał odezwał się po raz pierwszy tego ranka.

Właśnie miałam wygłosić długą tyradę, co sędzę o takim szowinistycznym i patriarchalnym traktowaniu mojej osoby, ale zorientowałam się, że nikogo już nie ma w kuchni. Nawet psa.

A właśnie, że nie zrobię kolacji! Niech sobie jedzą psie zarcie. Którego też nie kupię!

Pora obiadowa

Pojechałam odwiedzić ojca. Był w gorszym stanie niż zwykle.

Kiedy otworzyłam drzwi jego mieszkania, okazało się, że jeszcze spał (była czternasta czterdzieści). Weszłam do kuchni i nakarmiłam jego dwie białe myszki, Fidela Castro i Che Guevarę. Chwilę później usłyszałam niezidentyfikowany odgłos dochodzący z sypialni ojca. Uchyliłam drzwi, by przekonać się, że to tylko Tata reaguje na życiodajne promienie słoneczne.

Potem wyszedł z pokoju i ze smętnie zwieszoną głową podążył do salonu. Po drodze zaplątał się w jakąś część garderoby, leżącą na podłodze, i padł twarzą na dywan. Przez chwilę wydawało się, że zamierza pozostać w takiej pozycji, ale w końcu dzielnie podniósł się i powlekł dalej.

– Sto lat. Wszystkiego najlepszego – rzekł później, wręczając mi kopertę z pieniędzmi. – Widzisz, w życiu każdego mężczyzny przychodzi taki moment, kiedy musi zrozumieć, że przegrał. Czasem życie jest zbyt silnym przeciwnikiem i nie da się go pokonać. Świat i ludzie są przeciwko nam, wiatr wieje prosto w twarz. Trzeba się wycofać. Przystopować. Zdejmij nogę z pedału gazu i wrzuć na luz, siostrzo. Jak sobie pościesz, tak się wyśpisz.

Ojciec mnie wzrusza. Symbolizuje wszystko, czym nie chciałabym się stać, a czym prawdopodobnie i tak się stanę. Jest samotnym, smętnym, czterdziestoletnim facetem (no dobrze, może nie do końca t y m się stanę, chyba że w grę wchodzi szybki lot do Szwecji i bolesna operacja), który pewnego dnia zostanie

znaleziony martwy przez sąsiadów, zaalarmowanych dochodzącym z jego mieszkania smrodem. Możliwe, że będzie wtedy nadgryziony przez Fidela i Che.

– Dzięki – powiedziałam, ogarnięta falą czułości do pocziwego staruszka. Może nawet posprzątam mu mieszkanie i zrobię zakupy. Przecież to mój kochany tatuś!

Piętnaście minut później

Ojciec zaczyna mnie poważnie wkurzać.

Sklep zoologiczny

Poszłam do sklepu zoologicznego kupić Killerowi żarcie. Przecież nawet taka bestia z morza nie może odżywiać się wyłącznie syropem owocowym i Smarkowymi butami.

Rozejrzałam się po sklepie dla zwierzaków; Junior, Junior Champion, Senior Champion, mięso w kulkach, mięso w galarecie, galareta w mięsie... Ja nawet nie wiem, jakiej rasy jest mój pies!

Podeszłam do przyszczatego młodziana za ladą, informując go, że potrzebuję żarcia. Spojrzał na mnie spode łba. Dodałam, że nie dla siebie. Zapytał, czy dla psa. Potwierdziłam niepewnie.

- Jakiej rasy?
- Nie wiem.
- Jaki wiek?
- Nie wiem.
- Co lubi jeść?
- Sandały. I dżem truskawkowy.

Po tej owocnej konwersacji młodzian wręczył mi siedmiokilowy wór z suszonymi podrobami i kazał zapłacić osiemdziesiąt złotych. Skandaliczne, ja nie zjadam podrobów za osiem dych przez cały rok!

Wieczór

Pies nie chce jeść żarcia, które kupiłam. Zaczynam podejrzewać, że to wszystko to jeden wielki zamach na moje poczucie godności.

Spotkałam Matkę w drzwiach; akurat wychodziła do pracy. Często bierze nocne dyżury w szpitalu, co mnie wcale nie dziwi, jednak w domu pielęgniarka przydałaby się bardziej. Pielęgniarka, dwóch silnych sanitariuszy i lekarz z lewatywą, ewentualnie z kaftanem bezpieczeństwa.

Dzisiejszy wieczór przebiega jednak spokojnie. Zbyt spokojnie. Wysuwam nawet tezę, że Włodzimierz dołał Smarkowi nervosolu do zupy, bo braciszek tylko trzy razy udawał skręt kiszek podczas kolacji.

Włodzimierz skończył właśnie opowiadać jakąś przydługawą historię o tym, co dzisiaj się zdarzyło w szkole. Jak zwykle nikt go nie słuchał: Smark pochłonięty był swoją psychozą, Michał kiwał się na krześle w rytm tylko sobie słyszalnej melodii, a ja zastanawiałam się, czy ryżem z cynamonem można się zatruć, a jeżeli tak, to czy śmiertelnie?

– ...a ja mu mówię: „nie umiesz odróżnić kontrabasu od wiolonczeli”! Cha, cha! – Włodzimierz jest nauczycielem muzyki w liceum i ma charakterystyczne poczucie humoru.

Ale czego się tu spodziewać po facecie, który spłodził Smarka? Wystarczy spojrzeć... Jego arcyutalentowany synek właśnie sprawdza, czy psia łapa zmieści mu się w ustach.

My nie możemy dzielić wspólnych genów, po prostu nie możemy!

26 lutego, czwartek, nad ranem

Nie mogę spać. Ten cholerny kundel ujada tak głośno, że jestem bliska podjęcia decyzji o oddaniu legitymacji Ligi Przyjaciół Zwierząt i zrobienia odrobiny Killerowego smalcu.

Piąta rano

Ach, błogosławione poranki. Wybierając się na wykłady, muszę wstać trzy godziny przed rozpoczęciem zajęć, by dojechać na uczelnię na czas.

Ma to wiele zalet:

– nie muszę pilnować grafiku korzystania z łazienki (7.00–7.30 – ja, 7.30–8.00 – Smark, 8.00–8.30 – Włodzimierz, 8.30–17.00 – Michał. Chyba nie trzeba wyjaśniać, kto ułożył grafik). Za przekroczenie swojego czasu czeka człowieka lincz i ukamienowanie oraz widok perfidnej radości na twarzy Michała, kiedy wręcza żółtą kartkę (dwie żółte kartki i jedna czerwona – sprzątanie łazienki po Smarku; przeżycie, przy którym opady popromienne w Czarnobylu wydają się niewinną mżawką);

– nie muszę oglądać twarzy Smarka, nurkującego w talerzu z owsianką. Próbuje pobić swój rekord (minuta, dwie) i wypuszcza ta nędzna kreatura przy tym powietrze (i Bóg wie, co jeszcze) przez dziurki od nosa;

– nie muszę być świadkiem porannego rytuału godowego pana Stanisława, który z maniackim śmiechem tratuje nasze kubły na śmieci, wyobrażając sobie zapewne, że to Włodzimierz stoi na ich miejscu.

Idąc do kuchni, spotykam Killera, który z radośnie ubłoconymi łapami zmierza do mojego pokoju, gdzie pakuje się do łóżka, zostawiając brązowe odbicie swoich członków na poduszce, dokładnie w miejscu, w którym zazwyczaj trzymam głowę.

W kuchni od razu wpada mi w oczy żółta karteczka, wisząca na lodówce. To zazwyczaj zwiastuje coś równie strasznego, jak odwiedziny ciotki Alicji albo wątróbka na obiad.

„Odbierz małego z basenu, kończy o 18.00. My nie zdążymy.”

NIE!

Nie!!!

Czemu mnie to zawsze spotyka?!

Miałam ochotę paść na kolana i walić pięściami w co popadnie, a najchętniej w głowę brata.

Późny wieczór

Aż piętnaście minut stałam pod budynkiem basenu, czekając na Smarka. Czy on sobie wyobraża, że ja nie mam nic lepszego do roboty?!

Kiedy miałam się już zbierać do domu, by przedstawić rodzicom historię o tym, jak to Smark i jego koledzy utopili instruktora pływania w brodziku, po czym uciekli do Meksyku, aby wieść życie renegatów jak Harrison Ford w *Ściganym*, usłyszałam hałas, ziemia się zatrzęsała, szczury opuściły pokład i otworzyły się wrota piekieł. Wybiegło przez nie kilkadziesiąt dzieciaków, wrzeszcząc i wierzgając czym popadnie. Cofnęłam się w obawie, że nie wyhamują i porwą mnie, ponosząc w siną dal niczym stado dzikich bawołów.

Smark zatrzymał się w pewnym momencie, spojrzał na mnie spod odziedziczonych po Włodzimierzu krzaczastych brwi i wydał z siebie bliżej nieokreślony odgłos.

Niewdzięczny gówniarz!

27 lutego, piątek, uczelnia

Po podróży ku cywilizacji (czyli z osiedla geriatryków do śródmieścia), obfitującej w wiele pouczających przygód, jak ta z kurą goniącą po autobusie i sto sześćdziesiąt cztery opowieści o bolących stawach/hemoroidach/odciskach na piętach, wygłaszanych beztróskim głosem przez stado babć – dotarłam na uniwersytet, tę perłę wiedzy i wylęgarnię talentów.

Kupiłam sobie kawę z automatu i skierowałam się do bufetu, wskakując po drodze między paprotki, by ukryć się przed profesorem, któremu jestem winna pracę zaliczeniową sprzed dwóch lat. Kiedy przeszedł, z największą godnością, na jaką było mnie stać, wypełzłam z doniczkowej dżungli. W bufecie zastałam tylko kawałek sernika, wyglądający, jakby za chwilę miał wstać i wymaszerować z bufetu, oraz zupę o konsystencji betonu. Zrezygnowałam z jedzenia i udałam się prosto do sali wykładowej. Przy drzwiach stał ryży jegomość z ulotkami, nie udało mi się uciec, wręczył mi więc zadrukowany kawałek papieru. „Poniedziałek, 2 marca, pierwsze spotkanie kółka filmowego! Przyjdź, niezliczone atrakcje!!!” Atrakcje w postaci pełnego odpadów z bufetu stołu szwedzkiego oraz domowej roboty telewizora, wypożyczonego z Kółka Młodych Elektryków Amatorów.

Sala wykładowa, jak to sala, wielka, wypełniona po brzegi dwuosobowymi ławkami połączonymi w rzędy oraz całym mnóstwem znudzonych studentów z przekrwionymi oczami. W mojej ławce już siedział, a raczej leżał, chrapiąc, kolega Kowalski, przeze mnie ochrzczony pieszczotliwym przezwiskiem Odpad Atomowy. Nie zwróciwszy nawet uwagi na moje przybycie, spał dalej. Zdrowe podejście.

Dom

Spędziwszy pięć godzin wykładowych na rozwiązywaniu krzyżówek i wsłuchiwaniu się w rytmiczne chrapanie sąsiada oraz drętwą gadkę profesora Bakłażana, który z naturalną emfazą rozprawiał o „wysokości grzbietów książek encyklopedycznych według norm europejskich”, czułam się wyprana z resztek inteligencji. Usiadłam przed telewizorem. Leciały właśnie *Gniewne grona grzesznej namiętności*, serial produkcji meksykańsko-peruwiańsko-brazylijsko-eskimoskiej. W tym odcinku Maria Lucecita don Fiorellito-Garcia postanowiła wyznać swemu mężowi (który tak naprawdę był jej wujkiem stryjecznym od strony matki chrzestnej), że wszystkie odziedziczone po ojcu (który tak naprawdę był bratem przyrodnim ojca jej pierwszego męża) pieniądze zainwestowała w niskodochodową hodowlę stonki ziemniaczanej (która tak naprawdę była stonką ziemniaczaną). Fascynujące.

1 marca, niedziela

Za dwa tygodnie wypada rocznica Matki i Włodzimierza.

Trzeba będzie kupić jakiś prezent. Ale co można podarować takiemu Włodzimierzowi oraz Matce?

Później

No, co?

Jeszcze później

Matka przy obiedzie oznajmiła, że zaprosiła resztę rodziny na rocznicę i że nie przyjmuje żadnych wymówek. Zwolnień od lekarza też nie.

Kazała mi odebrać jutro Smarka z zajęć dziu-dzitsu, ale wykręciłam się, mówiąc, że mam spotkanie w kółku filmowym. Może nawet nie będzie na nim tak źle? Nareszcie porozmawiam z ludźmi na moim poziomie, jakaś wyższa kultura i ogląda towarzyska. Może nawet stworzymy elitarny klub filmowców, z sekretnymi uściskami dłoni, hasłami przejścia i podniosłą atmosferą procedury inicjacyjnej?

2 marca, poniedziałek, po spotkaniu koła filmowego, trwającym pięć minut

Jako, że byłam jedyną osobą, która przybyła na pierwsze spotkanie klubu filmowego, opiekun kółka, zacierając ręce i chociaż diabolicznie, jednogłośnie wybrał mnie prezesem, zastępcą, skarbnikiem i sekretarzem wyżej wymienionego, po czym oddalił się, by zainkasować z Ministerstwa Kultury i Dziedzictwa Narodowego fundusze na owo ambitne przedsięwzięcie.

Zostało mi jeszcze trochę czasu, a nie chciałam wracać do domu, gdzie wciąż mogłam zostać wrobia na odebranie małego Hannibala Lectera z fiksacją na cukier z zajęć sztuk walki, więc postanowiłam poszukać prezentu dla Matki i Włodzimierza. Na pierwszy ogień wzięłam centrum handlowe „Wielki Moloch”. Spędziłam wśród półek kilka godzin i, jak na razie, wymarzony prezent na dziesiątą rocznicę ślubu to:

– *Historia kina tureckiego* w postaci kieszonkowej,

- siedmioosobowy śpiwór z wbudowanym masażerem,
- wyszyty na arrasie jeleni na rykowisku, w porożu dzierżący flagę państwową (wprowadzi myśliwsko-patriotyczną atmosferę w każdym domu! – zachwała ulotka),
- dożywotni zapas kleju biurowego.

Później

Chyba wezmę klej.

4 marca, środa

Matka i Włodzimierz pokłócili się. W sumie żadna nowość – kłóć się od dnia ślubu (na przyjęciu weselnym Matka prawie udusiła ojczyrna krawatem, bo rozlał rosół na obrus), z częstotliwością co kilka godzin i zawsze godzą się pośród łzawych wyznań i przeprosin.

Nie mam pojęcia, o co im poszło tym razem – krzyczeli coś w kuchni, Włodzimierz łkał, a potem Matka rzuciła w niego wokiem. Najgorsze jednak jest to, że za każdym razem, po jakiejś wielkiej awanturze Matka podejmuje decyzję o zmianie swego życia. Ostatnio była to zmiana wystroju domu na zgodny z zasadami feng shui, co jednak po dwóch dniach zakończyło się wezwaniem pogotowia hydraulicznego, bo Smark w nocy wsadził nogę do klozetu.

W styczniu, dwa lata temu, Matka wyprowadziła się do ciotki Alicji, zostawiając mnie na tydzień z samcami. Ku memu zażenowaniu, okazało się, że ich talenty gastronomiczne znacznie przewyższają moje. Nie dość, że poniżyli mnie psychicznie, to jeszcze odmówili gotowania dla mnie, wstrętnei, męscy szowiniści,

zmuszając do odżywiania się w uczelnianym bufecie. Danie dnia – kurczak w czterech postaciach: żywy, półżywy, dogorywający i w agonii.

A pięć lat temu zrobiło się naprawdę niebezpiecznie, kiedy Matka w ferworze linczu na Włodzimierzu zagroziła rozwodem! Po pewnym czasie pogodzili się, zjednoczeni faktem, że Smark rozwalił przedszkolną toaletę, topiąc w niej petardę.

5 marca, czwartek

Zaczęło się.

Matka siedziała w kuchni i gromadziła łupy z napadu na księgarnię New Age, wertując jednocześnie książkę: *Wyzwól się z toksycznego związku. Kobieta kontra męska szowinistyczna świnią*; obok leżały takie bestsellery, jak: *Równość w związku. Czemu ty jesteś górą, a on bezużytecznym śmieciem?* i *Czy twoje dzieci psują ci humor? Każ im się wynosić!* Zwłaszcza ta ostatnia pozycja podniosła mnie na duchu.

– Siemano! – zawołała Matka w obcym narzeczu, pociągając mnie do niedźwiedziego uścisku. Napotykając moje pytające spojrzenie, pisnęła histerycznie: – My, kobiety, musimy się trzymać razem! Kobięca siła, siostrzo!

Kiedy spytałam, czy jest kolacja, spiorunowała mnie wzrokiem i mruknęła coś o „byciu po ich stronie”.

Ja nadal nie mam prezentu na rocznicę, a pies nareszcie zaczął zreć. Szkoda tylko, że zjada mój płaszcz.

7 marca, sobota

Włodzimierz od środy śpi na kanapie.

– Co jest nie tak z tą kobietą?! – zapytał gniewnie przy śniadaniu.

Skierowałam wzrok w swój talerz, grzebiąc w jajecznicy tak energicznie, jakbym lada chwila spodziewała się ujrzeć skarb Inków między kawałkami jajka.

Włodzimierz wbił we mnie pytający wzrok. Widocznie Smark, wpychający sobie do ust ósme jajo na twardo, nie wydawał się godnym zaufania rozmówcą.

Włodzimierz chyba nie oczekiwał, że odpowiem...? Wylizanie, co jest nie tak z Matką, zajęłoby kilka lat.

10 marca, wtorek

W dalszym ciągu nie mam dla nich prezentu.

12 marca, czwartek, późna noc, właściwie już piątek

Sytuacja:

Ja, Michał, Smark i Matka wybieramy się do supermarketu.

Plan działania:

18.04 – autobus do centrum handlowego;

19.00–19.30 – szybkie zakupy najpotrzebniejszych materiałów żywnościowych;

20.20 – jesteśmy w domu.

A było tak:

18.09 – spóźniamy się na autobus o 18.04, co owocuje czterdziestopięciominutowym postojem na przystanku oraz trzema ofertami podwiezienia, złożonymi odpowiednio przez pijanego kierowcę tira, pijanego rowerzystę i, zaskakujące, pijanego wrotkarza;

19.50–22.00 – podczas gdy Michał relaksuje się na stoisku z artykułami higienicznymi dla kobiet, Matka dostaje szalę zakupowego:

- suszarka do dywanów (mamy wykładziny),
- trzykilogramowy słoik odżywki do fryzury typu afro (ja, Matka i Michał mamy proste włosy, Smark nieokreślonego rodzaju strąki, a Włodzimierz jest łysy),
- promocyjna paczka pampersów o wartości 179 złotych...

22.01 – uwaga wszystkich zostaje skupiona na Smarku, który wjeżdża wózkami w stoisko z kryształami. Kierownik obsługi nie chce uwierzyć w zapewnienia Matki, że to przypadek, gdyż Smark tańczy taniec radości wśród szklanych skorup, wrzeszcząc: „Jee! Wygrałem! Sto punktów dla mnie!”;

22.30 – konto naszej rodziny uszczupla się o 430 złotych (za kryształy) i 250 złotych (za resztę zakupów), a mimo to z artykułów spożywczych mamy tylko tuzin jaj i pół kilograma pomidorów;

22.31 – Matka wpada w panikę, bo nie możemy znaleźć Smarka, który ulotnił się zaraz po zapłaceniu za rozbite szkło. Moja sugestia, żeby jak najszybciej opuścić sklep bez brata, zostaje zignorowana;

23.05 – kierownik nocnej zmiany odnajduje Smarka, śpiącego w przymierzalni damskiej bielizny. Matka, rozczulona widokiem swej latorośli, wtulonej w stanik z katalogu Victoria's Secret, zarządza natychmiastowy powrót do domu;

23.20 – Matka i Michał wywołują awanturę i ogólne zamieszki w autobusie, gdy jakaś gruba pani siada na naszych pomidorach. Postanawiam dyplomatycznie nie przyznawać się do rodziny, co jednak nie do końca się udaje, gdyż Michał wrzeszczy z drugiego końca pojazdu:

– Te, siostra, jak tam twoje jaja?!

Smark chrapie na moich kolanach, brocząc śliną na wszystkie strony świata.

00.15 – wracając do domu, wywracam się na śliskim podjeździe pana Stanisława (zalanym przez Włodzimierza ponad tydzień temu), tłukąc jaja i prawie wybijając sobie zęby. Kiedy wreszcie docieramy do mieszkania, zastajemy w nim bladego Włodzimierza i dwóch funkcjonariuszy policji. Okazuje się, że Włodzimierz, zaniepokojony naszą przedłużającą się nieobecnością, zawiadomił stróżów prawa. Obawiał się, że porwała nas banda palestyńskich najemników, którzy właśnie dokonują egzekucji, wyjaśnia, rzucając się Matce w objęcia. Matka mruczy coś w rodzaju „dałby Bóg” i wręcza mu pampersy. Włodzimierz mdleje.

14 marca, sobota, szósta rano

Nie mam prezentu.

Całą noc próbowałam wykorzystać zdolności nabyte na lekcjach ZPT w podstawówce i zrobić prezent własnoręcznie,

lecz skutek był mizerny. Nie rozumiem, czemu cechy mojego niezwykłego umysłu nie przekładają się na talent plastyczno-manualny.

Ozdobny wazon, przetworzony recyklingowo z pudełka po soku z żurawin, załamał się pod ciężarem tulipana, ukradzionego z ogródka sąsiadów. Czemu, czemu, pytam, przecież wycinałam i obklejałam go różową bibułą przez pół nocy. Chociaż może to i lepiej. Tulipan zaczął już śmierdzieć żurawinami.

Potpourri z kaktusa również się nie nadaje. Kłuje w nos przy wachaniu. Dam Smarkowi, on zje wszystko.

Dekoracyjne łąbędzie z *papier mâché*, które robiłam sześć godzin, spotkał tragiczny los. Przez przypadek na nich usiadłam.

I co ja teraz pocznę?

Później

Matka rzuca się po domu jak wiewiórka z wściekliwością. Firma cateringowa, w której wczoraj zamówiła jedzenie, właśnie je dostarczyła. Co z tego, że z piętnastogodzinnym opóźnieniem i nie nasze zamówienie, ważne, że jest! Powinna być zadowolona, że w ogóle coś zjadliwego dowieźli.

W zeszłym roku na przyjęciu komunijnym Smarka (tak, antychryst miał komunię) jedliśmy szkockie *haggies*, dostarczone przez przypadek do nas, a nie do Klubu Miłośników Wysp Brytyjskich.

Włodzimierz natomiast podejmuje wysiłki (daremne) doprowadzenia Smarka do stanu używalności społecznej. Polega to między innymi na zapasach w łazience, gonitwie przez przedpokój, zapasach w salonie, maratonie przez kuchnię, zapasach w pokoju, sprincie przez ogródek. Sprawy chyba nie obrały kierunku, jakiego by Włodzimierz sobie życzył, bo Smark właśnie

przejechał przez jadalnię, siedząc ojcu na plecach i wyrykując temat przewodni z *Bonanzy*.

Jeszcze później

Wciąż nie mam tego cholernego prezentu! Doprowadzona do ostateczności, zapukałam do pokoju Michała. Po chwili usłyszałam odgłos odsuwania barykady; brat otworzył, wykorzystując do tego zwinne palce u stóp.

Siedział przy komputerze, spazmatycznie waląc rękami, nogami i głową w klawiaturę.

Bez ceregieli wyłuszczyłam sprawę:

– Nie mam prezentu i chciałam przyłączyć się do twojego.

– Ano – odpowiedział w narzeczu góralskim.

– Czyli mogę wręczyć z tobą twój prezent? – dociekałam, znając niezdolność brata do koncentracji i myślenia abstrakcyjnego.

– Taa – mruknął, podskakując na krześle, rozwalając jednocześnie ufoludka na ekranie oraz kradnąc mu auto.

– I rozumiesz, że to nie ja mam prezent tylko ty? – ciągnęłam wątek.

– Siur – rzekł indoktrynowany.

– Podsumujmy: ja – brak prezentu. Ty – prezent, ilość: jeden. Na „tak” uderz głową o monitor komputera – nie ustępowałam. Na Discovery Channel mówili, że z opóźnionymi trzeba powoli i cierpliwie.

– Aha – odparł Michał półgębkiem.

Odetchnęłam z ulgą. Sprawa prezentu była załatwiona. Michał władował w obcych ostatnią serię z golden beretty, po czym odtńczył rytualny płas radości niecywilizowanych plemion. Gdy mnie zauważył, na jego dzikiej twarzy zagościło szczere zdumienie.

– O, co ty tu robisz? Nie widziałem cię – powiedział zaskoczony. – Nieważne, lepiej powiedz, jaki masz prezent dla rodziców, bo ja zupełnie zapomniałem kupić.

15 marca, niedziela, 14.30

Aaa!

Gdzie ja jestem?!

Czemu leżę w łóżku Smarka?!

I dlaczego czuję, jakbym miała w ustach kilogram pestek z wiśni?

Powoli, od początku. Wspomnienia wracają falami...

Wczoraj, zaraz po tym, jak Michał po raz kolejny udowodnił, że potęga jego umysłu równa się zawartości doniczki z petuniami, rozległ się dzwonek do drzwi. Na szczęście nie byli to goście, lecz pan Stanisław dzierżący w dłoni szlauch. Z makiaweliczną miną oświadczył, że właśnie dzisiaj, w sobotę, o godzinie 19.15, postanowił umyć samochód, rower, hulajnogę i całą resztę gratów, zalegających w jego piwnicy. Włodzimierz wyjrzał przez okno, by zobaczyć połowę wyposażenia sklepu sportowego, zastawiającą chodnik, ulicę i część naszego podjazdu. Na twarzy wykwitły mu czerwone plamy, sprawiając, że owo lico zaczęło przypominać dobrze wypieczoną struclę truskawkową.

Wczoraj wieczorem Michał, motywowany kopniakami, wymierzanymi w pewną część ciała przez moją stopę, poczłapał do pokoju Smarka, który, pozbawiony ojcowskiej pieczy, radośnie zakładał na spodnie trzecią parę bokserek z Ronaldinhem. Po kilku minutach, wypełnionych odgłosami szarpaniny, dochodzącymi zza zamkniętych drzwi, Michał wyszedł z pokoju z miną Juliusza Cezara podbijającego Galię i rzekł głosem pełnym upokorzonej dumy:

– Zgodził się.

Wspólny prezent ze Smarkiem? Jeżeli nie będzie to tort nasączony rycyną, to może nie wylądujemy na pogotowiu, pomyślałam.

Włodzimierz stał przy oknie, obserwując, jak sąsiad, z histerycznym śmiechem, wystawia kajak na ulicę.

Piętnaście minut i cztery sprzęty sportowo-rekreacyjne później Matka siłą odciągnęła Włodzimierza od okna i wręczyła mu półmisek z siekaną langustą. Włodzimierz spojrzął na talerz z nieukrywaną odrazą.

Tymczasem na podjeździe powstało zamieszanie – wujek Janek wjechał swoim trabantem w przenośny basen sąsiadów. Wujek, człek krewki, nie wysiadając z „samochodu”, przejechał przez basenik, przewrócił trzy rowery i skierował pojazd prosto na kajak. Czerwona barwa łódki najwyraźniej działała na wujka niczym płachta na byka. Pan Stanisław wybiegł z garażu i podniósł wrzawę, Włodzimierz natomiast rzucił półmiskiem o stół, pozwalając, by langusty rozprysły się po salonie, i w podskokach pobiegł do okna. Kiedy zlokalizował źródło krzyków, usta wykrzywił mu sadystyczny wyraz sadystycznej satysfakcji.

Wujek, nie zwracając uwagi na groźby wezwania policji, GROM-u i Gwardii Narodowej, rzucane przez pana Stanisława, wysiadł z samochodu i energicznie zatrzęsął drzwiczki, które w tym samym momencie odpadły z gracją.

Matka westchnęła i zaczęła zbierać langusty z podłogi; Smark przegalopował przez salon i ujrawszy kolację, a raczej to, co z niej zostało, pognał do kąta i zaczął udawać, że puszcza pawia.

Michał, świadom otaczającego go chaosu, spokojnie założył słuchawki na uszy i począł gwałtownie potrząsać głową, sprawiając wrażenie osoby chorej na płasawicę w fazie agonalnej.

Kiedy wujek Janek przemocował drzwiczki swojego auta w akompaniamencie okrzyków pana Stanisława („Ja znam ludzi! Ważnych ludzi!”), Włodzimierz, jak na prawdziwego Polaka przystało, zerwał się witać czcigodnego gościa. Choć chleb i sól w rękach rodzica zastąpiła butelka absoluta, chwila była podniosła i wzruszająca. Matka uroniła w kuchni nawet kilka łez. Choć mogła to być wina krajanej cebuli.

Po gorącym powitaniu Włodzimierz, słysząc kolejny rumor na podjeździe, oddalił się, a wujek wszedł do salonu. Smark natychmiast dokonał napaści na wujkową autonomię, rzucając się nań spoza kredensu i usiłując zdjąć mu skalp. Na szczęście Matka zawołała mnie do kuchni, bym wyłuskała fragmenty wykładziny z półmiska z langustami, więc nie musiałam być świadkiem rozlewu krwi. Wujek próbował zwrócić na siebie uwagę Michała, usiłując jednocześnie strącić z pleców żądneho mięsa Smarka, jednakże starszy z braci tylko uniósł kciuk do góry i wyszczerzył się w błogim uśmiechu.

Sprawcą kolejnego rumoru na podjeździe był dziadek Krzysztof, a dokładniej dziadek Krzysztof wywracający się na leżących w ogródku wrotkach. Smark przepchał się przez zatłoczony przedpokój i wypadł na dwór. Wskoczył na dziadka i wałąc kopytami o ziemię, zaczął udawać, że podróżuje na latającym dywanie.

Późniejsze wspomnienia zamazują się – pamiętam, że gdy byliśmy już w komplecie, wujek tamował ranę na czole, Smark z podnieceniem oglądał ślady po wujkowych zębach na swoim nadgarstku, a ktoś zaproponował, żeby rodzice obejrzeni prezenty... To pewnie był Smark; chciał nas poniżyć, co do tego nie mam wątpliwości.

Rodzice dostali:

- zestaw pogrzebaczy do kominka (mamy centralne);
- oryginalną elżbietąską zastawę obiadową z napisem „Made in China” na spodzie;
- własnoręcznie utkany dywanik pod sedes.

Niestety, żaden z tych cudnych prezentów nie pochodził od nas. O, nie, my podarowaliśmy Matce i Włodzimierzowi rysunek, wykonany ręką szympansa z chorobą Parkinsona i przedstawiający człekopodobnego stwora, trzymającego w łapie garść badyli. Podpis pod rysunkiem brzmiał:

Z OKAZI ROCZNYCY WŻYSKIEGO NAILEPSEGO RZYCZE
KOHANEI MAMIE I TACIE IA.

Chyba wtedy odkorkowałam pierwszą butelkę wina.

A potem babcia i dziadek oświadczyli, że się rozwodzą.

Pomiędzy winem a nalewką z wiśni babcia i dziadek, ni z gruszki, ni z pietruszki, obwieścili, że rozstają się po czterdziestu pięciu latach małżeństwa i że nikt ani nic nie skłoni ich do zmiany decyzji. Matka zemdląła, Włodzimierz załkał, a wujek, z wpół przeżutą langustą w ustach, poróżowił na twarzy.

– Jak to? – spytała Matka kilka minut później, cucona.

– Tak – powiedziała babcia ze spokojem członka sekty Moona. – Doszliśmy z dziadkiem do wniosku, że niewiele już mamy sobie do powiedzenia.

– Zabrakło nam spontaniczności, pasji, namiętności...! – podjął dziadek.

Na szczęście nie skończył, bo wujek Janek spadł z krzesła. Do tej pory nikt nie zwracał na niego uwagi i nie zauważyliśmy, że jego głowa nabrała imponujących rozmiarów. Czerwona, łysa czaszka nabrzmiała jak dynia. Wujek zaczął toczyć pianę, a mnie wszystko dookoła zaczęło nagle wydawać się bardzo śmieszne.

Z tego, co działo się później, niewiele pamiętam. Przyjechała karetka i zabrała nas do szpitala. Tylko babcia, dziadek i Smark zostali w domu – sanitariusz odmówił wpuszczenia brata do samochodu. Słuszna decyzja, ten diabelski pomysł mógł chcieć wypróbować respirator na kierowcy. Przejazdźka była fajna, ale tylko do momentu, kiedy pielęgniarz zabrał mi butelkę z winem, widząc, jak puszczam bańki ze śliny przez rurkę do tracheotomii.

Wujek miał alergię na owoce morza; Włodzimierz rozmawiał z lekarzami. Matka urządziła małą sdomę i gomorę w recepcji, bo podobno tego typu wezwania nie zaliczają się do nagłych i musimy zapłacić karę. Argumenty, że zanim dowieźlibyśmy wujka do szpitala samochodem, jego głowa byłaby już wielkości balonu meteorologicznego, nie wywarły żadnego wrażenia na ordynatorze.

Ja i Michał siedzieliśmy w poczekalni, a właściwie Michał starał się utrzymać mnie w pozycji siedzącej.

Kiedy wychodziliśmy ze szpitala, Matka chlipała cicho. Biedna mamusia. Chciałam ją przytulić i pocieszyć, ale odtrąciła mój pełen miłości gest, pociągając nosem i pytając agresywnie:

– Coś ty piła? Śmierdzisz jak gorzelnia!

I bądź tu człowieku dobry dla rodziny!

Pamiętam, że po przyjeździe do domu chciałam się tylko znaleźć w łóżku. Ruszyłam do pokoju, zataczając się z gracją. Po drodze minęłam chrapiącego w jadalni na stole Smarka. Otworzyłam drzwi i ujrzałam skotłowane prześcieradła. Początkowo myślałam, że jakiś wyjątkowo perwersyjny włamywacz postanowił się wytarzać w mojej pościeli, potem jednak dotarła do mnie straszliwa prawda.

Babcia i dziadek.

Leżeli.

W.

Moim.
Łóżku.

Nadzy.

W moim łóżku?!

Aaa!

Wieczór

Jestem w szoku. Babcia i dziadek w moim łóżku. Robili...
coś.

Czemu, do jasnej anielki, w moim łóżku?!

Widać ich pasja nagle się odrodziła.

W moim łóżku.

16 marca, poniedziałek, uczelnia

Na korytarzu dopadł mnie opiekun kółka filmowego i oznajmił, że dziś o siedemnastej odbędzie się kolejne spotkanie klubu i że tym razem ktoś przyjdzie. Powiedział to głosem nawiedzonego mesjasza, zaczynam się bać, że zamierza nas zahipnotyzować i sprzedać nasze organy do Azji Wschodniej.

Dom

W domu panuje milczenie, Matka i Włodzimierz spuszczają wzrok za każdym razem, gdy wchodzi do kuchni, Michał uśmiecha się współczująco, a Smark zachowuje się tak, jakby nagle nabrał podziwu dla mojej osoby.

Nikt nie wspomina soboty; chyba oficjalnie trafiła na listę tematów tabu naszej rodziny, tuż za przebierankami wujka Mateusza za ciotkę Martę oraz zeszłoroczną aferą tupecikową Włodzimierza.

Spotkanie klubu filmowego

Jeszcze nikt nie przyszedł. Nie żebym spodziewała się jakichś tłumów, ale profesorska perswazja (nie przyjdiesz – nie zdasz) powinna podziałać. Możliwe, że nawet jakiś procent tych, którzy przybędą, będzie wiedział co nieco o filmie. Może uda mi się pokierować ich niedoświadczonymi umysłami, wyciosać te delikatne...

W drzwiach stanęła jakaś dziewczyna. Miała na sobie różowe futrzane kozaki. Powtarzam, różowe futrzane kozaki. Będzie rozlew krwi.

Wieczór

Nie było krwi; skończyło się na kilku zadrapaniach i złamanym paznokciu, kiedy telewizor, wypożyczony z koła elektryków amatorów wybuchł mi prosto w twarz. Próbowałam przekręcić pokrętko – zostało mi w dłoni, próbowałam wcisnąć guzik – telewizor wybuchł. Uczestnicy kółka (to znaczy ja oraz Futrzane Kozaki) rozbiegli się w popłochu na wszystkie strony świata i już nie wrócili. Podejrzewam, że to było ostatnie spotkanie kółka, zważając na brak telewizora. I uczestników.

W domu nikt nie zwrócił uwagi na zadaną przez antenę telewizyjną ranę kłutą w moim policzku.

Książki oraz bezpłatny katalog

Wydawnictwa W.A.B.

można zamówić pod adresem:

02-386 Warszawa, ul. Usypiskowa 5

tel./fax (22) 646 01 74, 646 01 75, 646 05 10, 646 05 11

e-mail: wab@wab.com.pl

www.wab.com.pl

Redaktor prowadzący: Natalia Sikora
Redakcja: Ewa Holewińska
Korekta: Anna Adamiak, Elżbieta Jaroszuk

Projekt okładki i stron tytułowych:
Przemysław Dębowski www.octavo.pl
Fotografia wykorzystana na I stronie okładki:
© characterdesign/iStockphoto.com
Fotografia autorki: © Andrzej Żołądak

Wydawnictwo W.A.B.
02-386 Warszawa, ul. Usypiskowa 5
tel./fax (22) 646 01 74, 646 01 75, 646 05 10, 646 05 11
wab@wab.com.pl
www.wab.com.pl

Druk i oprawa: ABEDIK S.A., Poznań

ISBN 978-83-7414-787-3

Zaczęło się.

Matka siedziała w kuchni i gromadziła łupy z napadu na księgarnię New Age, wertując jednocześnie książkę: *Wyzwól się z toksycznego związku. Kobieta kontra męska szowinistyczna świnią*; obok leżały takie bestsellery, jak: *Równość w związku. Czemu ty jesteś górą, a on bezużytecznym śmieciem?* i *Czy twoje dzieci psują ci humor? Każ im się wynosić!* Zwłaszcza ta ostatnia pozycja podniosła mnie na duchu.

- Siemano! - zawołała Matka w obcym narzeczu, pociągając mnie do niedźwiedziego uścisku. Napotkawszy moje pytające spojrzenie, pisnęła histerycznie: - My, kobiety, musimy się trzymać razem! Kobięca siła, siostró!

Kiedy spytałam, czy jest kolacja, spiorunowała mnie wzrokiem i mruknęła coś o „byciu po ich stronie”.

Osoby dramatu:

Narratorka - dziewczyna, której życie nie pozwala się nudzić. Ani nawet złapać oddechu. Posiadaczka rodziny i psa Killera, jak również dystansu do życia i niewyczerpanych pokładów poczucia humoru

Matka - fontanna niekonwencjonalnych pomysłów, ciągle na diecie. Posiadaczka dwóch mężów: obecnego i byłego

Starszy brat - miłośnik komputera

Młodszy brat - zwany Smarkiem, z uporem maniaka realizujący swoje szalone pomysły

Dziadkowie - małżeństwo od lat pięćdziesięciu, które procedurę rozwodową przerywa drugą podróżą poślubną do Tajlandii

Tajemniczy autor przewodników turystycznych - człowiek podejrzany, czyżby seryjny zabójca?!

Rozbrajająco zabawna opowieść o chaotycznej rzeczywistości, w której wszyscy żyjemy.



cena 34,90 zł

Patronat medialny



Niniejsza **darmowa publikacja** zawiera jedynie fragment pełnej wersji całej publikacji.

Aby przeczytać ten tytuł w pełnej wersji [kliknij tutaj](#).

Niniejsza publikacja może być kopiowana, oraz dowolnie rozprowadzana tylko i wyłącznie w formie dostarczonej przez NetPress Digital Sp. z o.o., operatora [sklepu na którym można nabyć niniejszy tytuł w pełnej wersji](#). Zabronione są jakiegokolwiek zmiany w zawartości publikacji bez pisemnej zgody NetPress oraz wydawcy niniejszej publikacji. Zabrania się jej od-sprzedaży, zgodnie z [regulaminem serwisu](#).

Pełna wersja niniejszej publikacji jest do nabycia w sklepie internetowym [Salon Cyfrowych Publikacji ePartnerzy.com](#).